Czajewski

Gdynia - moje ulubione miasto

Zeszyty Gdyńskie nr 5, 137-144

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

„Zeszyty Gdyńskie"
nr 5, 2010

Henryk Czajewski

Gdynia - moje ulubione miasto

Każda osoba w swoim życiu spotyka ciekawych i dobrych ludzi, z którymi wchodzi w relacje i związki społeczne. Etapy życia związuje z miejscami, które zapisują się na trwałe w sercu. Po latach chętnie wracają wspomnienia do osób i miejsc ukochanych. Dla mnie niezwykłym miastem, z którym przez kilka lat związałem swój los jest moje ulubione miasto Gdynia. Odwiedzałem ją często będąc studentem Politechniki Gdańskiej i to miasto urzekło mnie „od pierwszego wejrzenia". Siedząc przy biurku chicagowskiego domu przywołałem gdyńskie wspomnienia.

Gdynia – moje miasto, powiedziałem sobie przybywając do Orłowa w 1972 r. Skorzystałem z gościnności sąsiada –wspaniałego kolegi Józefa Ruszczyka – i zamieszkałem u niego. Nasze żony z dziećmi zostały w Białymstoku, a my wzięliśmy się twardo do roboty. Spotykaliśmy się wieczorami lub późno w nocy. Każdy z nas był zabiegany i na rozmowy nie było czasu. Dopiero w niedzielę poszliśmy do restauracji i tam mogliśmy sobie trochę pogadać. Po dwóch tygodniach podziękowałem Józkowi Ruszczykowi za przygarnięcie mnie i przeniosłem się do swojej chatynki skleconej z tych dwóch kiosków. Mieszkając na placu budowy nie traciłem czasu na dojazdy.

Miałem kuchnię i pokój. W kuchni postawiłem węglowy piec ogrzewczy oraz piecyk gazowy z butlą na użytek brygady budowlanej. Zatrudniłem dwóch murarzy i trzech pomocników. Sąsiad z naprzeciwka, z którym zaprzyjaźniłem się, pożyczył mi betoniarkę i wciągarkę – dźwig. To mi usprawniło i od samego początku przyspieszyło w znacznym stopniu prace budowlane.

Zająłem się dostarczaniem materiałów budowlanych, których załatwienie było czasami wręcz niemożliwe. Trzeba było posuwać się do „niedozwolonych chwytów" i być cwanym. Powstało w tym czasie przekleństwo, takie złe życzenie, które brzmiało: „Obyś się budował".

W dniu, w którym odbywał się przydział materiałów budowlanych, pojechałem do Prezydium MRN i ze zdziwieniem ujrzałem tam tłum ludzi czekających na otwarcie drzwi. Stojąc na końcu kolejki nie miałem żadnych szans na uzyskanie potrzebnych przydziałów na materiały budowlane. Postanowiłem skorzystać z bocznych drzwi wejściowych. Miałem nadzieję, że one zostaną otwarte równocześnie z głównymi. Stałem tam sam, bo inni zapewne nie wiedzieli, że takowe istnieją. Gdy wreszcie drzwi zostały otwarte do budynku, wpadłem jak szalony. Biegłem po trzy stopnie naraz i przy odpowiednim biurze na trzecim piętrze pojawiłem się pierwszy. Reszta

ludzi z wielkim krzykiem i pośpiechem, tratując się po drodze, przybiegła za mną i zajęła kolejne miejsca. Czułem się winnym, że oszukałem tych ludzi, ale w tamtych czasach taka była zasada, że kto pierwszy ten lepszy. A stosowane metody? To była inna sprawa.

Sytuacja ekonomiczna w Polsce była tragiczna. Ówczesny rząd komunistyczny z premedytacją prowadził wyniszczającą politykę gospodarczą. Troska o zapewnienie rodzinie w miarę godziwego bytu przesłaniała ludziom cele najważniejsze: walkę o przywrócenie Polsce wolności i demokracji.

Ludzie byli zmuszeni do zdobywania najpotrzebniejszych rzeczy. W sklepach brakowało wszystkiego, począwszy od mebli, przez mięso, jajka, do papieru toaletowego. Po kraju krążył nawet dowcip:

— Dlaczego nie ma papieru toaletowego?

— Bo by spadło czytelnictwo gazet w Polsce.

Niestety, ludzie kupowali gazety i używali ich zamiast papieru toaletowego. Smutne, ale prawdziwe.

Wszędzie były kolejki. Przed sklepem mięsnym ludzie stali już od czwartej rano, aby coś kupić. Zniewolenie ludzi sięgało szczytów.

Tylko dzięki sprytowi udało mi się dostać przydział wszystkich materiałów, które były w gestii przydzielania przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, czyli wyroby metalowe (zbrojenie i belki na stropy). Inne materiały trzeba było załatwiać gdzie indziej i w inny sposób.

W dowód wdzięczności trzem pracującym w tym pokoju paniom kupiłem bukiety kwiatów i wręczyłem każdej. Kierowniczka była mile zaskoczona i powiedziała:

— Już dwadzieścia lat jestem tu kierowniczką i pan jako pierwszy petent przyszedł podziękować nam za załatwienie sprawy. Przyniósł pan piękne kwiaty. Gdyby w przyszłości potrzebował pan czegokolwiek, proszę się nie krępować – sprawę załatwimy od ręki.

Podziękowałem im serdecznie, ale przydział okazał się wystarczający i po raz drugi nie musiałem korzystać z uprzejmości tych pań.

Z kolei cement załatwił mi brat w Orzyszu. Takie były warunki w systemie komunistycznym, w którym tylko znajomości, łapówkarstwo lub cwaniactwo wchodziło w grę, jeżeli cokolwiek chciało się załatwić. Bowiem cement, który na zamówienie PZGS wagonami przyszedł na potrzeby danego województwa, nie był tam nawet rozładowywany. Zmieniano tylko stację dostawczą na Gdynię, dopisywano mój adres i w ten sposób parę wagonów tego reglamentowanego towaru trafiło w moje ręce. Za przewóz koleją przez parę województw musiałem zapłacić, jak również za rozładunek w Gdyni. To potrajało moje koszty, ale innego wyjścia nie miałem. Byłem szczęśliwy, że w ogóle cement dało się załatwić. Po przykrym doświadczeniu kupna cementu „na lewo" w Białymstoku nawet nie próbowałem tego robić po raz drugi. Dowiedziałem się, że o parę domów dalej przyłapano sąsiada na takim procederze i niestety poszedł siedzieć do więzienia. Zapewne postawiono mu warunek: więzienie lub współpraca. W ten sposób większość ludzi wybierało

współpracę z władzą, bo pobyt w więzieniu nie należał do przyjemności. Znałem osobiście parę takich wypadków i dlatego wolałem już więcej nie ryzykować.

Za cegłę i pustaki przepłacałem również. Dziwnie to nawet wyglądało, bo kierownik składu powiadamiał mnie w przeddzień, kiedy będzie dostawa. Nie kazał mi stawać w kolejce, która była zawsze bardzo długa, a przyjeżdżać dopiero po południu, kiedy oświadczono, że wszystko zostało wyprzedane. Wówczas wkraczałem do akcji i gdy moja głowa pokazywała się w okienku, kierownik osobiście otwierał drzwi do swojego biura i zapraszał mnie do środka. Po prostu pytał:

— Co pan dzisiaj potrzebuje?

Zawsze żartowałem i wskazywałem na karteczkę, która głosiła:

„Wysprzedaż materiałów zakończona".

— Skoro tak, to może pan zamknąć biuro i pójdziemy na obiad do restauracji. Ale może zostało panu trochę cegły i pustaki? – i tutaj wymieniałem ich ilości.

Cena już była ustalona wcześniej. Za każdą cegłę dopłacałem 10 groszy, a za pustak 1 zł. Suma jaka szła do jego kieszeni była pokaźna, ale mimo wszystko obaj byliśmy zadowoleni.

Dzięki temu, że miałem pieniądze, budowa mojego domu bliźniaka (połączone dwa domy) posuwała się do przodu w zawrotnym tempie.

Moja brygada budowlana spisywała się bardzo dobrze i nie musiałem jej nadzorować, bo jej szef, którego sam wyznaczyłem trzymał wszystkich w ryzach i nie pozwalał na „obijanie się". Moim obowiązkiem było załatwianie materiałów i dowiezienie ich na budowę. Zajmowało mi to tyle czasu, że „noc mnie wyganiała i noc przyganiała", czyli rano wyjeżdżałem, a w nocy dopiero wracałem do domu, jeżeli tę budę domem nazwać było można.

Pewnego dnia odwiedziła mnie żona. Dzieci na parę dni zostały z nianią, bo ta sprawdziła się jako wspaniała opiekunka. Ufaliśmy jej tym bardziej, że była siostrą naszego szwagra, męża Anastazji. Jagoda po raz pierwszy przyjechała do mnie, aby zobaczyć jak idzie budowa i przede wszystkim obejrzeć okolicę, bo tylko słyszała moją opinię, że to jest jedna z najpiękniejszych dzielnic Gdyni. Przyjechała nocnym pociągiem, więc zabrałem ją na krótką wycieczkę po mieście nocą. Późno w nocy przyjechaliśmy do naszego domku i zaraz poszliśmy spać na materacu leżącym oczywiście na podłodze. Gdy Jagoda rano wstała, zaczęła narzekać, że ją całą noc coś kłuło w plecy. Dopiero później zorientowała się, że leżała zbyt blisko waty szklanej i to było powodem tej niewygody. Rano jak zwykle musiałem pojechać załatwiać inne sprawy i gdy wróciłem, tym razem wcześniej, nie poznałem własnego domku. Wszystko wyglądało inaczej. Czysta podłoga była przykryta dywanikiem, w oknach wisiały firanki, a na ścianach piękne obrazki. Zajrzałem do pokoiku i tam też zobaczyłem ogromne zmiany. Po szklanej wacie nie zostało nawet śladu. Żona przeniosła ją w inne miejsce, natomiast materac zasłała nową kolorową pościelą. Byłem mile zaskoczony i tylko stwierdziłem:

— Jagoda, powinnaś być dekoratorem wnętrz.

W Gdyni miałem przynajmniej spokój, bo UB nie wiedziało, gdzie jestem. Byłem

zameldowany w Rumi, a mieszkałem na swoim placu. Płaciłem tam za pokój 400 złotych, a właściciele nawet mnie nie widzieli, bo zapłatę dostarczał ktoś inny. Milicja dopytywała się, gdzie przebywa ich lokator, ale oni nie mogli dać żadnych informacji, bo sami nie wiedzieli.

Pojawił się jednak inny mankament. Dostałem uczulenia, które powodowało niedrożność nosa i trudności z oddychaniem, czyli identyczne objawy jak w Chicago. Lekarka, do której się zgłosiłem, oświadczyła mi:

— Proszę pana, zdaje się, że będzie pan musiał wrócić tam, skąd pan przyjechał. Najlepszy klimat dla każdego jest tam, gdzie się urodził.

„Co teraz będzie?" – pomyślałem. „Dom w Białymstoku sprzedany, tutaj już prawie kończę budowę i teraz wracać?"

Zacząłem prosić lekarkę, aby wymyśliła inny ratunek, bo znalazłem się w sytuacji bez wyjścia.

— Proszę pana, sprowadzę panu francuskie lekarstwa, ale jeżeli one nie pomogą to już nic więcej zrobić nie będę mogła.

Po zażyciu tych lekarstw poczułem się lepiej, a wkrótce objawy choroby ustąpiły całkowicie. Byłem szczęśliwy.

Podczas sześciomiesięcznej rozłąki odwiedziłem parokrotnie żonę i dzieci, aż wreszcie nadszedł czas, że dwuletni Robert i siedmioletnia Małgosia wraz z Jagodą przyjechali na stałe do Gdyni. Zamieszkaliśmy jeszcze w małym domku, ale właściwy już był prawie na wykończeniu. Połowę bliźniaka sprzedałem w stanie surowym za 750 tysięcy złotych, więc na sytuację materialną nie mogliśmy narzekać, a wręcz przeciwnie, znów byliśmy bardzo bogaci. Wkrótce przeprowadziliśmy się do pięknie wykończonego domu.

Nowy właściciel tej drugiej połowy domu zaczął robić porządki według swojego uznania. Nagromadzony piasek przewoził taczką na drugą stronę ulicy, na wolny jeszcze plac i tam go wysypywał. Wkrótce dostałem wezwanie do Kolegium Orzekającego w tej sprawie. Powiadomiłem o tym nowego właściciela i on natychmiast zgodził się być moim świadkiem i przyznać się do winy, jak również oddać mi pięć tysięcy złotych kary, którą musiałem uiścić przed rozprawą.

W dniu rozprawy zgłosiliśmy się obydwaj do Kolegium Orzekającego. Wezwano mnie przed komisję. Ponieważ po raz pierwszy stałem przed takim ciałem orzekającym, byłem zaskoczony, że aż z tylu osób składa się ta komisja. Pośrodku siedział przewodniczący, po bokach członkowie, policjantka, a z boku protokolantka, razem sześć osób. Każdy z nich patrzył na mnie jak na wielkiego przestępcę, ale to nie robiło na mnie wielkiego wrażenia. Białostockie doświadczenia zahartowały mnie. Na każdego z członków komisji popatrzyłem jak ta „Żywa Głowa" z gdańskiego cyrku. Przewodniczący komisji zwrócił się do mnie z pytaniem:

— Czy oskarżony wie, z jakiego powodu został wezwany przed Kolegium Orzekające?

— Wiem – odpowiedziałem. – Tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego jestem tytułowany „oskarżony", gdyż to nie ja powinienem być oskarżony, ale mój świadek,

który przyszedł razem ze mną, by zeznawać w mojej obronie.

— Niech oskarżony wyjaśni dokładnie, co ma na swoją obronę – kontynuował przewodniczący kolegium.

Oświadczyłem, że to nie ja wywoziłem ten piasek, a nowy właściciel, który przyszedł ze mną, aby potwierdzić prawdziwość moich zeznań. Wyproszono mnie z sali i wezwano sąsiada, który potwierdził moje zeznania. Ponownie stanąłem przed wymiarem sprawiedliwości i przewodniczący, mimo ewidentnej mojej niewinności, zaczął od słów:

— Co oskarżony w ostatnim słowie ma do powiedzenia w swojej obronie? – powtórzył swoją formułkę.

Kpiny za kpiny pomyślałem sobie i odpowiedziałem:

— Oskarżony w ostatnim swoim słowie prosi Wysokie Kolegium o uniewinnienie mojego świadka – odpaliłem bez wahania.

Początkowo nastąpiła konsternacja, ale po chwili wszyscy eksplodowali gromkim śmiechem. Stałem w miejscu z kamienną twarzą, a to tym bardziej ich rozśmieszało. Wreszcie przewodniczący komisji przerywanym ze śmiechu głosem krzyknął do mnie:

— Wyjdź pan, wyjdź pan natychmiast!

Powolnym, tanecznym krokiem opuszczałem salę rozpraw, a ich śmiech towarzyszył mi aż do chwili, gdy zamknąłem za sobą drzwi. Mój „świadek" słysząc śmiech zapytał, co było powodem takiego stanu.

— Prosiłem, aby ciebie uniewinniono – odparłem.

— A żeby ciebie licho – skomentował mój sąsiad.

Czekaliśmy na orzeczenie wyroku bardzo długo i zacząłem już wątpić, czy moje poczucie humoru odniosło pozytywny skutek. Dopiero po godzinie postawiono mnie ponownie przed ławą sędziowską. Zauważyłem u wszystkich zaczerwienione od płaczu oczy, a przewodniczący, gdy spojrzał na mnie, szybko spuścił głowę i powstrzymując się od śmiechu wydał wyrok:

— Po rozpatrzeniu sprawy – zaczął – uniewinniamy oskarżonego (nie „pana") od postawionych mu zarzutów, ale oskarżony musi odwołać się do Wojewódzkiego Kolegium Orzekającego, aby dostać zwrot wpłaconych pieniędzy.

Z całą powagą w głosie powiedziałem:

— Dziękuję z całego serca, że Wysokie Kolegium Orzekające dopatrzyło się mojej niewinności, a również wybaczyło mojemu świadkowi. Ponieważ za tydzień będą święta Wielkanocne, to życzę Wysokiemu Kolegium Wesołych Świąt i każdemu z osobna smacznego jajka, a szczególnie tutaj orzekającym mnie paniom.

W tym momencie wszyscy jednocześnie „ryknęli" śmiechem. Nikt z członków komisji nie mógł wykrztusić, że to już koniec sprawy i mogę wyjść, więc czekałem cierpliwie, ale za to z wielką satysfakcją, że wszyscy są zadowoleni i oskarżyciele i oskarżony. Trwało to dosyć długo, aż wreszcie ktoś wykrztusił:

— Wyjdź pan wreszcie, wyjdź natychmiast!

Moja riposta była natychmiastowa i głośno oświadczyłem;

— Z wielką przyjemnością.

Po tych słowach wszyscy padli twarzami na stół zanosząc się od śmiechu, a ja tanecznym ponownie krokiem opuściłem salę rozpraw. Gdy otworzyłem drzwi, mój sąsiad, a jednocześnie świadek słysząc ponowny śmiech – zapytał:

— A co znowu?

Gdy opowiedziałem całe zdarzenie tylko powtórzył, co wcześniej powiedział:

— A żeby ciebie licho.

I na tym sprawa w pierwszej instancji została zakończona.

Niestety, jeszcze musiałem zgłosić się do Kolegium Orzekającego w Gdańsku. Ale to była tylko formalność i pieniądze zostały mi zwrócone. Mój świadek nie był nigdy pociągnięty do odpowiedzialności, tylko przy każdym naszym spotkaniu przypominał mi, „co ja najlepszego zrobiłem" i tym razem my mieliśmy z czego się śmiać.

W tym samym czasie otrzymałem pracę na Uniwersytecie Gdańskim w dziale transportu. Biuro, gdzie pracowałem, mieściło się w Rektoracie w Gdańsku na Przymorzu, a warsztat samochodowy, którego byłem kierownikiem, był w Sopocie. Kultura pracy była zdecydowanie inna niż w zakładach białostockich, zasady pracy wręcz wymarzone.

Prawdopodobnie białostockie UB przekazało mnie gdańskiej jednostce, gdyż wkrótce dostałem wezwanie na komisję wojskową. Dziwnie to wyglądało, bo żaden lekarz z komisji mnie nie badał, tylko jeden z nich kazał zgłosić się do ostatniego oficera w mundurze wojskowym i tam nagi usiadłem na krześle. Miałem kategorię C i byłem pewny, że wpisał mi ją ponownie do książeczki wojskowej. Poszedłem więc według jego wskazówki oddać krew i po ubranie do rozbieralni. Tam dopiero jeden z powołanych otworzył swoją książeczkę i zaklął siarczyście.

— Zmienili mi – powiedział – z kategorii D na A.

Wówczas sprawdziłem swoją również. Wyrwały mi się mimochodem te same słowa, które przed chwilą słyszałem. Miałem również kategorię A z przydziałem do jednostki, do której miałem zgłosić się w przeciągu sześciu tygodni. Wtedy inni panowie też stwierdzili to samo w swoich książeczkach. Okazało się, że wszyscy byliśmy „wrogami" Polski Ludowej i trzeba było nas w jakiś sposób „wychować".

Następnego dnia zgłosiłem się do prywatnego gabinetu kierownika Przychodni Rejonowej i zamiast 50 złotych, które brał za wizytę położyłem na stole 500 złotych i przedstawiłem swój problem.

— Załatwimy sprawę – pocieszył mnie. – Proszę jutro rano przyjść do mojej przychodni na badania. Pielęgniarka będzie uprzedzona o pańskiej wizycie. Tylko proszę natychmiast zrobić odwołanie do Wojewódzkiej Komisji Wojskowej.

Zrobiłem według polecenia lekarza, ale odpowiedzi nigdy nie otrzymałem. Trzymano mnie w szachu.

Wkrótce ponownie odwiedziła nas najmłodsza szwagierka z USA – tym razem z koleżanką. Samochodem mojego brata pojechaliśmy do Krakowa, Częstochowy i Zakopanego. Koleżance, rodowitej Amerykance, bardzo podobała się Polska.

Szwagierka namówiła moją żonę, aby ponownie ich odwiedziła w Ameryce. Niedługo po tym Jagoda znanym już „Batorym" znowuż popłynęła do swojej rodziny w USA.

W czasie jej nieobecności dziećmi i domem zajmowała się wspaniała starsza pani, niania i gospodyni w jednej osobie – Maria Paluszko, człowiek o wielkim sercu i życiowej mądrości. Bardzo ją szanowałem i traktowałem jak członka rodziny. Zawdzięczałem jej wiele, gdyż widziałem, że kocha nasze dzieci jak prawdziwa babcia. Aby czuła się panią domu, dawałem jej pieniądze na zakupy i nigdy nie sprawdzałem wydatków. W sklepach miałem załatwione, oczywiście za dodatkowe pieniądze, czyli łapówki, że Małgosia rano zanosiła karteczkę z zapotrzebowaniem, a po południu Maria Paluszko szła tylko odebrać przygotowany do odbioru towar. Tym sposobem nie miałem kłopotów z zaopatrzeniem domu w niezbędne produkty żywnościowe i wszystkie inne również. Niestety, taka była ówczesna rzeczywistość. Kto miał pieniądze mógł egzystować, przepłacając za wszystko.

Maria Paluszko zabierała dzieci na różne wycieczki. Wodolotem nawet jeździła na Półwysep Helski, co najbardziej podobało się Małgosi i Robertowi. Tak kochała swoich podopiecznych, że z góry im przeznaczała ewentualną wygraną w lotka. Żartowałem z niej, że trzeba wpierw wygrać, ale to nie zmieniało faktu.

Nawet po powrocie żony z USA Maria Paluszko wiodła prym w domu i wszyscy ją kochali. To była naprawdę wspaniała kobieta. Zwierzyła mi się kiedyś, że powie mi swój życiowy sekret, ale niestety zabrała go z sobą do grobu.

Pobyt w Gdyni Orłowie zakończył się w 1976 r. Niestety, to piękne miasto, jak również piękny, nowy pobudowany dom, z widokiem na morze, musiałem opuścić ze względów politycznych. Służba Bezpieczeństwa ciągle „deptała mi po piętach." Mój znajomy z MSW w Warszawie ostrzegł mnie, że mogę być „uniecystwiony." Radził mi z całego serca, abym natychmiast opuścił Polskę na stałe. To była jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu. Załatwił mi paszporty i w ciągu dwóch tygodni musiałem z rodziną opuścić Polskę. I tak 18 marca 1976 roku wyjechaliśmy do USA.

W 2005 r. otrzymałem od IPN status osoby pokrzywdzonej na podstawie dokumentów zachowanych w MSW w Warszawie. Moje dokumenty w Białymstoku zostały zniszczone. Komuniści przeczuwali, że wkrótce mogą być odsunięci od władzy i bez żadnych skrupułów niszczyli kompromitujące ich archiwa. Właśnie w Białymstoku Urząd Bezpieczeństwa najbardziej próbował mnie upokorzyć. Tuż po powrocie w lipcu 1969 z dziewięciomiesięcznego pobytu w USA zaczęła się moja gehenna. Zwolniono mnie bezprawnie z pracy, a raczej nie pozwolono mi jej nawet zacząć, gdy równo o godzinie 7:00 rano zadzwonił telefon na moim biurku i sekretarka prosiła, abym natychmiast stawił się u dyrektora. Dyrektor bardzo zmieszany poinformował mnie, że nie mogę zacząć pracy i jestem zwolniony, chociaż miałem jednoroczny urlop bezpłatny. Dostałem tak zwany „wilczy bilet." O pracy mogłem tylko pomarzyć, gdyż wszędzie mnie przyjmowano do chwili sprawdzenia mojego nazwiska. Założono mi podsłuch w samochodzie i w domu. Wezwania do KWMO były permanentne. Przesłuchania były wielogodzinne i bardzo męczące.

Zastawiano wiele pułapek, aby mnie złapać na czymś, co by mnie kompromitowało. Dwukrotnie rozliczano mnie finansowo. „Dołożono" mi podatek tzw. Gierkowski – sto dwadzieścia tysięcy złotych. Wreszcie „drogą okrężną" próbowano mnie skłonić do współpracy i gdy to im nie „powiodło się", zaczęły się nowe wymyślne szykany. Nawet żonę w dziewiątym miesiącu ciąży zabrano do KWMO na przesłuchanie i zaraz po niej zabrano mnie również. Robiono rewizję w domu o 5:00 rano. Wówczas natrafiła się okazja wyjazdu z Białegostoku do Gdyni. Uchwyciłem się tej myśli jak tonący brzytwy. To właśnie Józef Ruszczyk zaproponował mi ten wspólny wyjazd i za to jestem jego duchowym dłużnikiem do końca mojego życia na tym ziemskim padole. Uciekałem od moich gnębicieli, a jednocześnie wyjeżdżałem do mojego ulubionego miasta Gdyni.